

ZAPISANE W KARTACH

INNI - tom PIĄTY

*Dla Anne Sowards i Jennifer Jackson
i dla Ruth „the Ruthie” Stuart.
Zostaniesz zapamiętana na zawsze.*

Tytuł oryginału: ETCHED IN BONE

Copyright © ANNE BISHOP, 2017

All rights reserved

www.annebishop.com

Copyright © for the Polish edition by WYDAWNICTWO INITIUM

Tłumaczenie z języka angielskiego: EMILIA SKOWROŃSKA

Redakcja: ANNA PŁASKOŃ-SOKOŁOWSKA

Korekta: NATALIA MUSIAŁ, ANNA PŁASKOŃ-SOKOŁOWSKA

Projekt okładki, skład i łamanie: PATRYK LUBAS

Współpraca organizacyjna: ANITA BRYLEWSKA, BARBARA JARZĄB

Fotografie użyte na okładce: Horn Andrey/498070342/Shutterstock

[chagpg/146457145/Depositphotos](https://www.shutterstock.com/author/chagpg/146457145)

WYDANIE I

ISBN 978-83-62577-60-6



Wydawnictwo INITIUM

www.initium.pl

e-mail: initium@initium.pl

Druk i oprawa: DRUKARNIA README, www.readme.pl

ANNE
BISHOP

ZAPISANE
W KARTACH

INNI - tom PIĄTY

Przełożyła
EMILIA SKOWROŃSKA



KRAKÓW 2017



Podziękowania

Dziękuję Blairowi Boone za to, że nadal jest moim pierwszym czytelnikiem, oraz za wszystkie informacje o zwierzętach, broniach i wiele innych wiadomości, które przенiosłam i dopasowałam do świata Innych; Debrze Dixon za bycie drugą czytelniczką; Dorannie Durgin za prowadzenie mojej strony internetowej i informacje na temat budowli dla koni; Adrienne Roehrich za prowadzenie oficjalnego funpage'a na Facebooku; Nadine Fallacaro za informacje medyczne; Jennifer Crow za podnoszenie mnie na duchu; Anne Sowards i Jennifer Jackson za informacje zwrotne, które pomagają mi pisać lepsze historie; Pat Feidner za to, że zawsze mnie wspierała i zachęcała do działania.

Chciałabym szczególnie podziękować osobom, które użyczyły swoich imion i nazwisk postaciom z tej książki, wiedząc, że będzie to jedyny łącznik pomiędzy rzeczywistością a fikcją. Są to: Bobbie Barber, Elizabeth Bennefeld, Blair Boone, Kelley Burch, Douglas Burke, Starr Corcoran, Jennifer Crow, Lorna MacDonald Czarnota, Julie Czerneda, Roger Czerneda, Merri Lee Debany, Michael Debany, Mary Claire Eamer, Sarah Jane Elliott, Sarah Esposito, Chris Fallacaro, Dan Fallacaro, Mike Fallacaro, Nadine Fallacaro, James Alan Gardner, Mantovani „Monty” Gay, Julie Green, Lois Gresh, Ann Hergott, Lara Herrera, Robert Herrera, Danielle Hilborn, Heather Houghton, Pamela Ireland, Lorne Kates, Allison King, Jana Paniccia, Jennifer Margaret Seely, Denby „Skip” Stowe, Ruth Stuart i John Wulf.



Prolog

Koniec lipca

Gdy zebrali się na dzikich terenach między dwoma Wielkimi Jeziorami Tala i Etu, ich kroki wypełniły ziemię głuchą ciszą.

Byli Starszymi, pierwotnymi postaciami *terra indigena*, strzegącymi dzikich, pierwotnych części świata. Mniejsze formy tubylców ziemi – zmiennokształtni, tacy jak Wilki, Niedźwiedzie i Pantery – znały ich jako kły i pazury Namid.

Ludzie – błyskawicznie rozprzestrzeniające się dwunożne drapieżniki – rozpoczęli wojnę z *terra indigena*, zaczęli zabijać mniejszych zmiennokształtnych, którzy zamieszkiwali dzikie tereny graniczące z Cel-Romanią, znajdującą się po drugiej stronie terytorium Oceanu. A tu, w Thaisii, wybito tyle Wilczej Straży, że na niektórych obszarach już w ogóle nie było słyhać jej pieśni.

Gdy ludzie w Thaisii i Cel-Romanii świętowali swoje zwycięstwo nad mniejszymi formami *terra indigena*, Żywioly oraz kły i pazury Namid odpowiadały na wezwanie do wojny. Najpierw zniszczyły najeźdźców, a potem rozpoczęły proces dzielenia i zmniejszania ludzkich stad, tak by znajdowały się w tych dwóch częściach świata.

Teraz jednak pojawił się problem.

Część z nas będzie musiała pilnować ludzi, powiedział najstarszy samiec. Nawet tak niewielki kontakt może nam zaszkodzić.

Zapadła cisza, gdy zaczęli rozważać przejście zadania, które przez tyle lat wykonywali mniejsi zmiennokształtni. A potem padło pytanie: *Olu ludzi zatrzymamy?*

Zabić ich wszystkich! warknął inny samiec. *To właśnie zro-
biliby z nami ludzie!*

Zabiłbyś słodką krew? spytała zszokowana samica.

Zapadło ciężkie milczenie, wszyscy zaczęli się zastanawiać nad odpowiedzią.

Słodka krew, wyjący nie-Wilk, zmieniła sytuację na Dziedzińcu w Lakeside – zmieniła nawet część żyjących tam *terra indigena*. Nie była taka jak wrodzy ludzie. Nie była ofiarą. Ona i jej podobni byli cudownymi i przerażającymi stworzeniami Namid.

Nie, nie można było zabić słodkiej krwi nie-Wilka, zwanej Dziewczyną Kijem od Miotły w opowieściach, które krążyły po dżicy i rozbawiała nawet najniebezpieczniejsze formy Starszych.

Zgodzili się co do tego, że wybicie wszystkich ludzi w Thaisii nie było dobrym rozwiązaniem, i zastanawiali się nad dalszymi posunięciami jeszcze długo po zachodzie słońca.

Skoro mamy zachować przy życiu część ludzi, to których mamy wybrać? spytał wreszcie najstarszy samiec.

To była zupełnie inna kwestia. Bardzo złożona i skomplikowana. Wielu z mniejszych zmiennokształtnych, którzy przetrwali ataki, wycofało się z zamieszkałych przez ludzi terenów i zostawiło ich na łaskę i niełaskę Starszych.

Niektórzy zaczęli unikać wszelkiego kontaktu z ludźmi i wrócili do dżicy, inni postanowili osiąść w odzyskanych miastach – w których znajdowały się ludzkie budynki i sprzęty, ale już bez lokatorów i właścicieli.

Jednakże strzegący pierwotnych terenów Starsi z reguły trzymali się z dala od takich miejsc, chyba że trafiali do nich pod postacią kłów i pazurów Namid. Nie nawiązywali kontaktów z ludźmi,

tak jak robili to mniejsi zmiennokształtni. Z opowieści wiedzieli, że istnieją różne gatunki dwunożnych drapieżników, jednak nie mieli pojęcia, co sprawiało, że jeden człowiek szanuje ziemię i wyznaczone granice, natomiast inny zabija i porzuca mięso albo odbiera domy upierzonym czy futrzastym stworzeniom. Ludzie z LPiNW wypowiedzieli wojnę *terra indigena*. Czy istniały inne wrogie gatunki, których Starsi jeszcze nie poznali?

Czy jeśli ludzie powrócą do odzyskanych miast, zaczną walczyć ze zmiennokształtnymi, próbującymi dostosować te miejsca do *terra indigena*, którzy nie chcieli całkowicie porzucić ludzkiej postaci? Ale przecież tubylcy ziemi przyjmowali nie tylko postać innego drapieżnika, lecz i jego cechy. Czy istniały ludzkie cechy, których nie powinny przyjmować *terra indigena*? Dokąd mogli się udać Starsi, żeby przyjrzeć się ludziom i ustalić, do czego nie wolno dopuścić w odzyskanych miastach?

Naraz wszyscy Starsi odwrócili się i popatrzyli w stronę Lakeside.

Ten Dziedziniec nie został porzucony, mieszka tam ludzkie stado, powiedziała najstarsza samica.

Mieszkali tam również Wilk i wyjący nie-Wilk, który intrygował tak wielu Starszych. Wzięcie udziału w wydarzeniach, o których opowieści będą potem krążyć po dzikiej krainie, było warte ryzyka skażenia ludźmi.

Ciekawość przepelniała wszystkich, ale tylko jeden samiec i jedna samica mieli się udać na ten niewielki, zajęty przez ludzi obszar. Byli w Lakeside już wcześniej – pod postacią kłów i pazurów Namid wążęśli się po zamglonych ulicach i polowali na ludzkie ofiary.

Zadowoleni z podjętej decyzji, Starsi wrócili na swoje dzikie tereny, a wybrana para wyruszyła w podróż do Lakeside na rozpoznanie ludzkiego stada.

NAMID – ŚWIAT

KONTYNENTY I TERYTORIA (jak dotąd)

Afrikah

Australis

Brytania/Dzika Brytania

Celtycko-Romańska Wspólnota Narodów/Cel-Romania

Felidae

Kościste Wyspy

Burzowe Wyspy

Thaisia

Tokhar-Chin

Zelande

WODY

Wielkie Jeziora: Największe, Tala, Honon, Etu i Tahki

Pozostałe jeziora: Jeziora Piór/Jeziora Palczaste

Rzeka: Talulaha/Wodospad Talulaha

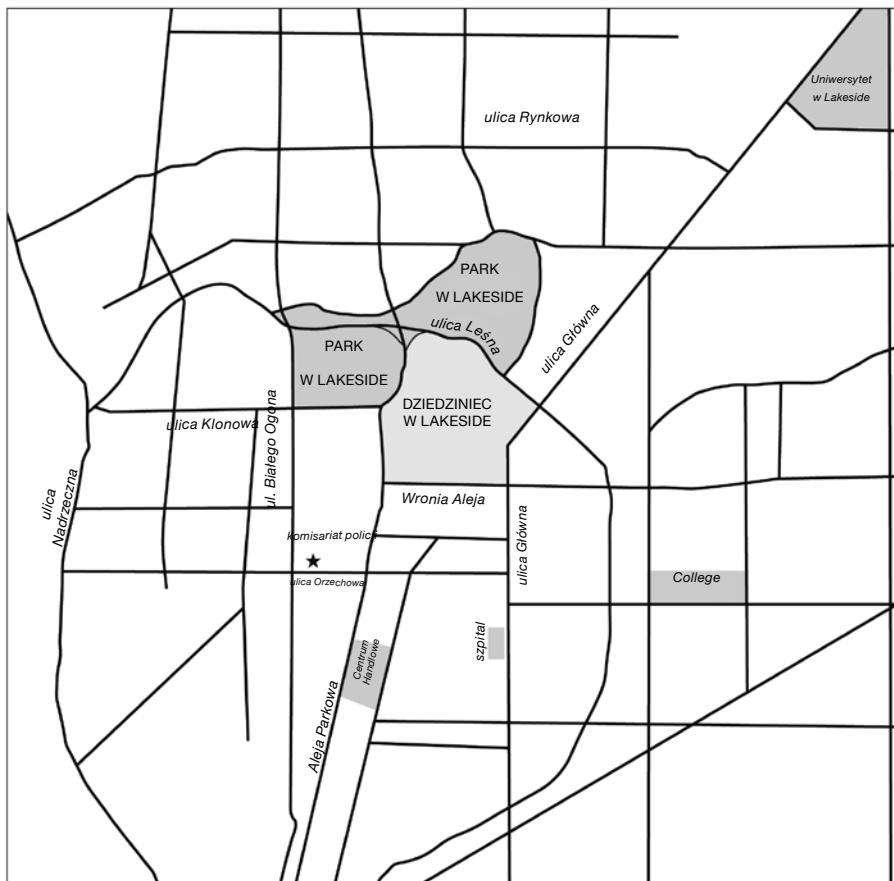
GÓRY

Addirondak, Skaliste

MIASTA I WIOSKI

Bennett, Wioska Wytrzymałych, Przystań Przewoźników, Harmony, Centrum Północ-Wschód, (Dyspozytornia), Jerzy, Lakeside, Podunk, Złota Preria, Ravendell, Shikago, Sparkletown, Sweetwater, Talulah Falls, Toland, Orzechowy Gaj, Pole Pszenicy

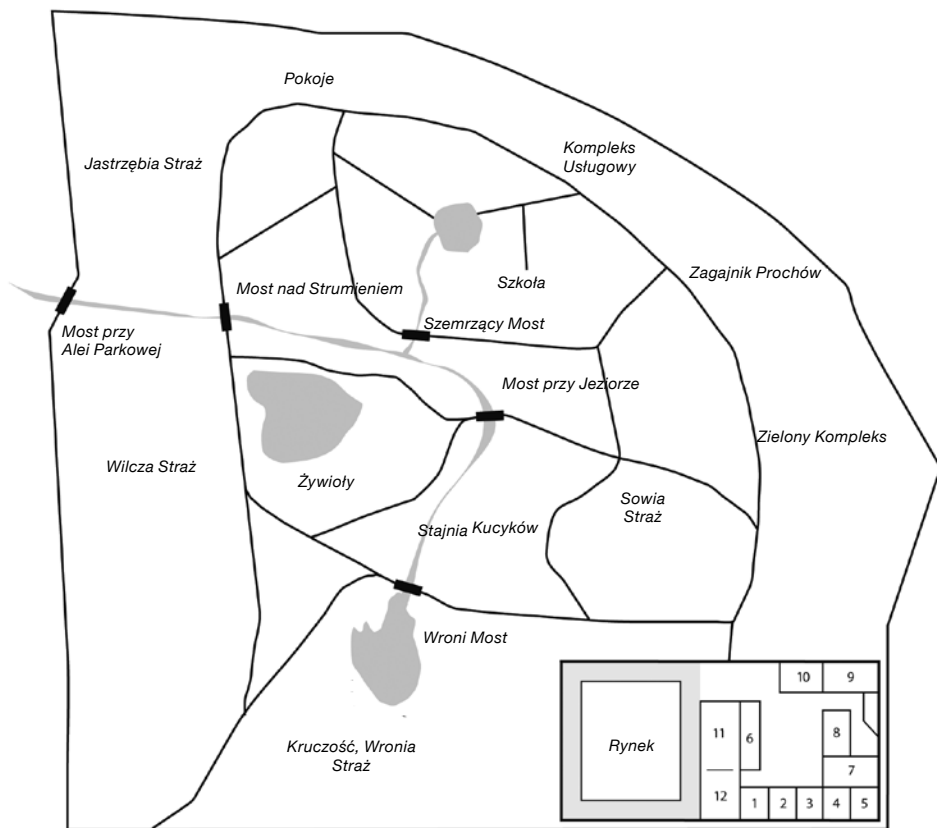
Plan Lakeside



© 2012 Anne Bishop

Autorka zaznaczyła tylko elementy występujące w powieści.

Dziedziniec w Lakeside



© 2012 Anne Bishop

- | | |
|--|-------------------------------------|
| 1. Pracownia krawiecka/
mieszkania służbowe | 7. Galeria i pracownia
Henry'ego |
| 2. Coś na Ząb | 8. Biuro łącznika |
| 3. Zabójczo Dobre Lektury | 9. Konsulat |
| 4. Siup i Łup | 10. Trzy P |
| 5. Świetlica | 11. Parking dla pracowników |
| 6. Garaże | 12. Parking dla klientów |



Krótką historia świata

Dawno, dawno temu Namid zrodziła wszelkie istoty żywe – w tym te nazywane ludźmi. Podarowała ludziom żyzne obszary samej siebie i wodę zdatną do picia, a znając ich delikatną naturę, jak również naturę innych swoich dzieci, odizolowała ich, by mieli szansę przeżyć i rozwijać się. Ludzie dobrze wykorzystali tę szansę. Nauczyli się budować domy i krzesać ogień. Nauczyli się uprawiać ziemię i wznosić miasta. Zbudowali też łodzie i zaczęli łowić ryby w Morzu Śródziemnym i Morzu Czarnym. Rozmnażali się i rozprzestrzeniaли po swojej części świata, aż natrafili na dzikie miejsca. To wtedy odkryli, że resztę świata zasiedlają inne dzieci Namid. Jednak Inni nie dostrzegli w ludziach zdobywców. Dostrzegli w nich nowy rodzaj mięsa.

Tak zaczęły się wojny o dzikie miejsca. Czasami ludzie wygrywali i rozprzestrzeniaли się nieco bardziej, częściej jednak znikwały całe fragmenty ich cywilizacji, a ci, którzy ocalili, trzęśli się ze strachu, słysząc wycie wilków. Zdarzało się też, że ktoś za bardzo oddalił się od domu, a rano znajdowano go martwego, pozbawionego krwi.

Mijały wieki. Ludzie zbudowali większe statki i przepłynęli Atlantyk. Kiedy natrafili na dziewiczy ląd, na wybrzeżu zbudowali osadę. Wówczas odkryli, że i to miejsce zajęte jest przez *terra indigena*, czyli tubylców ziemi. Innych.

Terra indigena rządzący kontynentem nazywanym Thaisią poczuli gniew, gdy ludzie zaczęli wycinać drzewa i orać ziemię, która nie należała do nich. Zjedli więc osadników i nauczyli się przybierać ich kształt, tak jak wcześniej wielokrotnie nauczyli się przybierać kształt innego mięsa.

Druga fala osadników znalazła opuszczoną osadę i ponownie spróbowała ją zasiedlić.

Ich również zjedli Inni.

Na czele trzeciej fali osadników stał człowiek, który był mądrzejszy niż jego poprzednicy. Zaproponował Innym ciepłe koce, materiał na ubrania i interesujące błyszczące przedmioty – w zamian za zgodę na zajęcie osady i uprawę okolicznej ziemi. Inni uznali, że to uczciwa wymiana, i opuścili tereny użyczone ludziom. Otrzymali więcej prezentów w zamian za prawo do polowań i połowu ryb. Taki układ zadowalał obie strony, choć jedna z trudem tolerowała nowe sąsiedztwo, a druga ogradzała swe osady i żyła w ciągłym strachu.

Płynęły lata, osadników przybywało. Wielu umierało, ale wielu wiodło się całkiem dobrze. Osady rozrastały się w wioski, te w miasteczka, a te z kolei w miasta. Stopniowo ludzie rozprzestrzenili się po całej Thaisii na ziemiach użyczonych im przez Innych.

Mijały wieki. Ludzie byli bystrzy, ale Inni również. Ludzie wynaleźli elektryczność i kanalizację. Inni kontrolowali wszystkie rzeki, które zasilaly generatory, i wszystkie jeziora, które dostarczały wody pitnej. Ludzie wynaleźli silniki parowe i centralne ogrzewanie. Inni kontrolowali zasoby paliwa potrzebnego do pracy silników i ogrzewania domów. Ludzie wynajdowali i produkowali różne rzeczy. Inni kontrolowali surowce, a zatem decydowali o tym, co można, a czego nie można produkować w ich części świata.

Oczywiście zdarzały się konflikty i niektóre ludzkie miasta znów pochłonął las. Wreszcie ludzie pojęli, że to *terra indigena* rządzą Thaisią i tylko koniec świata może to zmienić.

Obecnie sytuacja kształtuje się następująco: na ogromnych terenach należących do Innych rozrzucone są niewielkie ludzkie osady. W większych miastach znajdują się ogrodzone parki nazywane Dziedzińcami, gdzie mieszkają Inni, których zadaniem jest obserwowanie ludzi i pilnowanie przestrzegania umów, jakie zawarli z *terra indigena*. Po jednej stronie wciąż panuje niechętna tolerancja – a po drugiej strach. Ale jeśli ludzie będą ostrożni, przetrwają. Przynajmniej niektórzy z nich.



Rozdział 1

Środa, 1 sierpnia

Chcąc jak najszybciej dołączyć do Wilków i pobiegać we wczesnoporannym słońcu, Simon Wilcza Straż, dowódca Dziedzińca w Lakeside, pędził w stronę przyjaciół, którzy chowali się za drzewami i krzakami, by z ukrycia obserwować wybrukowaną drogę otaczającą Dziedziniec. Tak naprawdę obserwowali jednak nie drogę, a mężczyznę, który jechał nią powoli.

To Kowalski, warknął Blair. Było to ciche warknięcie, ale człowiek natychmiast zaczął się rozglądać, jakby jego małe uszy były w stanie złowić ten dźwięk.

Na rowerze, dodał Nathan.

Pozwoliliśmy mu na jazdę po wybrukowanych drogach, rzekł Simon, trochę zmartwiony faktem, że tak bardzo się martwią poczynaniami dobrze im znanego człowieka.

Karl Kowalski był jednym z ludzkich policjantów, którzy współpracowali bezpośrednio z *terra indigena*, żeby zminimalizować ryzyko wystąpienia konfliktów między ludźmi a Innymi. Z tego względu przyklepiono mu łątkę miłośnika Wilków i był skonfliktowany z innymi ludźmi. Ostatni incydent miał miejsce w zeszłym tygodniu, gdy jakiś samochód „przez przypadek” gwałtownie skręcił z drogi

i niemal potrafił Kowalskiego, gdy ten jeździł na rowerze. Ponieważ *terra indigena* odebrali to jako groźbę skierowaną do członka ich ludzkiego stada, Simon, Vladimir Sanguinati i Henry Niedźwiedzia Straż – członkowie Stowarzyszenia Przedsiębiorców Dziedzińca – postanowili pozwolić ludzkiemu stadu jeździć na rowerze po wybrukowanych drogach.

Simon był przekonany, że wszystkie Wilki zostały poinformowane o decyzji Stowarzyszenia Przedsiębiorców – zwłaszcza Nathan, który trzymał straż w biurze łącznika, i Blair, kontroler stada na Dziedzińcu – jednak po raz pierwszy człowiek odważył się jeździć po drodze, na której nadal wisiała tabliczka ostrzegawcza „Intruzi będą zjadani”.

Simonie, chodzi o rower, warknięcie Blaira nie było już tak ciche.

Kowalski zaczął pedałować trochę szybciej.

Ach. Rower. Teraz Simon już rozumiał, o co chodziło Wilkom – dlaczego tak się ekscytowały tą sytuacją. Ludzie jeździli na rowerach do Zielonego Kompleksu i do kilku innych miejsc na Dziedzińcu – te dwukołowe pojazdy bardzo intrygowały Wilki. Teraz jednak nie chodziło o transport z miejsca w miejsce. To musiało być coś innego.

Zabawa w ganianego? spytała z nadzieją Jane, chodzące ciało Wilczej Straży.

Mogli się umówić, że Kowalski jest ofiarą, rzekł Nathan.

A czy on umie się w to bawić? spytał Blair.

Jest policjantem, odparł Nathan. *Cały czas gania innych ludzi.*

To jeszcze nie oznacza, że rozumie zasady naszej zabawy.

Zdaniem Simona Nathan nie miał pojęcia o pracy policji – miał jedynie jakieś nadzieje w tym względzie. Mimo wszystko mogli spróbować zaproponować zabawę. Jeśli Kowalski się nie zgodzi, to po prostu sobie pobiegają. Ale... ten rower. Simon naprawdę miał ochotę poganiać za rowerem. *Dowiedzmy się.*

Wybiegły na drogę – Simon i Blair na prowadzeniu. Szybko dogoniły swoją udawaną zwierzynę. Czy jednak uda im się pobawić?

Kowalski odwrócił się i wytrzeszczył oczy – zaczął pedałowac jeszcze szybciej.

Tak!

Nie łapiemy, tylko gonimy, zastrzegł Simon.

Szybki jest! Jane przyśpieszyła i wysunęła się przed samców; po kilku sekundach znalazła się tuż za rowerem.

Tylko nie łap za koła! wydyszał Nathan. *Jeśli twój kiel wkręci się w szprychy, możesz złamać sobie szczękę albo jeszcze gorzej.*

Uważałam, gdy oficer Karl opowiadał szczeniakom o niebezpieczeństwach płynących z gryzienia kół, warknęła Jane, wyraźnie urażona tym niepotrzebnym pouczeniem. Przyśpieszyła jeszcze bardziej – była już w idealnej pozycji, żeby podgryźć łydkę Kowalskiego.

Ten spojrział na nią i ponownie przyśpieszył. Zamiast jechać przez most, dzięki czemu trafiłby do części zamieszkałej przez Jastrzębie, skręcił w drogę biegnącą wzdłuż jeziora Żywiołów, tak by wrócić do Zielonego Kompleksu.

Wilki biegly, ale wciąż utrzymywały ten sam dystans, nawet gdy Kowalski zwolnił, jadąc pod górke. Na zmianę goniły rower i zmuszały swoją ofiarę do ucieczki, do nieustannego pedałowania. Gdy dotarli do skrzyżowania z główną drogą Dziedzińca, Kowalski skręcił w lewo, na Zielony Kompleks, zamiast w prawo – w stronę targu.

Kiedy ofiara opadła z sił, większość stada zwolniła, a potem zawróciła do kompleksu Wilczej Straży. Nathan ruszył na targ i do biura łącznika, gdzie miał obserwować dostawców i pilnować Meg Corbyn, łączniczki z ludźmi. Simon i Blair biegly za Kowalskim aż do Zielonego Kompleksu. Następnie Blair udał się do Kompleksu Usługowego, a Simon pobiegł do wody przez część wspólną, stanowiącą otwarty środek jedyne go kompleksu wspólnego dla wszyst-

kich gatunków. Napił się, a potem przybrał ludzką postać i wsadził głowę do wody. Po chwili wyprostował się i odrzucił ciemne włosy z twarzy, rozpryskując wodę wokół. Schłodził ramiona i pierś. Wyszczrzył zęby, gdy Kowalski zostawił rower i ostrożnie zbliżył się do Wilka.

– To była świetna zabawa w ganianego! – rzekł radośnie Simon. – Muszę przyznać, że umiesz grać rolę zwierzyny.

– Naprawdę?

– Tak. – Simon przekrzywił głowę, dziwiąc się nieufności człowieka. Przecież świetnie się bawili, prawda? – Chcesz trochę wody? – zaproponował.

– Dziękuję. – Kowalski ochlapał twarz i kark, a potem ramiona. Ale nie wziął nawet łyka.

Przez chwilę Simon się nad tym zastanawiał. Ludzie byli mądrymi, ekspansywnymi drapieżnikami, które ostatnio po raz kolejny udowodniły *terra indigena*, że nigdy nie będzie można im w pełni zaufać – oni nie ufali nawet sobie samym. Pod względem fizycznym byli jednak o wiele słabsi niż inne drapieżniki. Weźmy na przykład to niepicie. Przecież w wodzie nie było nic złego. Ktoś spuścił już tę wczorajszą i wykorzystał ją do podlania drzewa i innych roślin, a potem dolał świeżej – do picia i chlapania się. Ludzie pili wodę pompowaną ze studni, ale tylko ze szklanki, wiadra albo innego małego pojemnika, ale nie mogli pić tej samej wody ze wspólnego zewnętrznego zbiornika? Jakim cudem przetrwali tak długo jako gatunek?

– A czy ktoś nie umie grać roli ofiary? – spytał Kowalski i wytarł twarz dłonią.

– Stado samic. Za każdym razem, gdy zapraszamy je do zabawy, zatrzymują rowery i pytają, czy mogą nam w czymś pomóc. – Simon rozłożył ramiona w geście sugerującym, że kompletnie tego nie rozumie. Potem wskazał na Kowalskiego. – Ale ty sam zainicjowałeś zabawę i mieliśmy świetną przebieżkę.

Kowalski prychnął cicho.

– No cóż, ja też.

– Ponieważ samice nie potrafią pedałowac tak szybko i dlugo jak ty, moze moglyby sie bawic ze szczeniakami. Dzieki temu szczenieta moglyby sie nauczyc biegac w stadzie bez ryzyka, ze zostana kopnieta czy zranione przez prawdziwa ofiare.

Przygladali sie sobie przez chwile.

– Porozmawiam z Ruthie – obiecal w koncu Kowalski.

Uslyszeli szczek szkla i obaj spojrzeli w strone letniego pokoju pod mieszkaniem Meg Corbyn.

– Musi byc pozniej, niz myslalem – rzekl Kowalski. – Lepiej wróc do domu i umyje sie przed pracą.

Simon patrzyl, jak mężczyzna idzie w strone roweru – i letniego pokoju. Przez chwile wydawalo mu sie, ze Kowalski chce wejśc do środka i porozmawiac z Meg, i poczul, jak jego kly wydłużaja sie do dlugosci klow wilka, wargi sie podnoszą, a z gardla dobywa sie ciche warkniecie. Ale Kowalski tylko uniosl dloni i powiedzial:

– Cześć, Meg.

A potem odjechał.

Simon ruszyl, ale gwałtownie sie zatrzymal, uświadomiwszy sobie, ze jest nagi w ludzkiej postaci. Wczesniej nie mialo to dla niego zadnego znaczenia – az do czasu, gdy na Dziedzińcu zamieszkała Meg. Ludzie reagowali w różny sposob na widok nagich innych przedstawicieli swojego gatunku, nawet jesli ubranie nie bylo konieczne dla ochrony czy ciepla. Meg świetnie dopasowala sie do swoich zmiennokształtnych futrzastych czy pierzastych przyjaciól, ale byla inna niz oni – byla inna niz on – i moze to dlatego ich przyjazn różnila sie od jej pozostałych relacji – czy to z ludźmi, czy z *terra indigena*.

Przez wiekszość nocy spal z nią, przybrawszy postać Wilka. Mieli osobne mieszkania, ale byly one polaczone letnim pokojem

i tylnym korytarzem. Coraz częściej zachowywali się, jakby mieszkali razem. Nie połączyli się jednak w parę w sposób, w jaki połączyli się Kowalski i Ruthie. Ale z drugiej strony *terra indigena* parzyli się tylko raz w roku, gdy samice miały ruję. Meg krwawiła tak jak ludzkie samice – co miesiąc, nie wykazywała jednak żadnego zainteresowania łączeniem się w pary. Ale...

Kilka tygodni temu poprosiła go, żeby popływał z nią nago. Żeby oboje byli nadzy, w ludzkiej postaci. Bardzo zdenerwował ją fakt, że siedzi z nim naga w wodzie; wyglądała na przerażoną, gdy pocałował bliźnię z prawej strony jej szczęki – bliźnię, dzięki której ocalała Wilczą Straż w Lakeside oraz wiele innych Wilków w Rejonie Północno-Wschodnim i poza nim.

Już wcześniej ją całował – raz czy dwa w czoło. Kiedy jednak musnął ustami tę bliźnię, poczuł, że coś się w nim zmienia, a w ciągu kolejnych dni zaczął instynktownie rozumieć, że nie jest taki sam jak reszta Wilczej Straży. Już nie.

Może nie tylko przez wzgląd na Meg poprosił ją po pocałunku, żeby rozpoczęli Wilczą zabawę, mimo że oboje wyglądali jak ludzie. Wtedy już się nie bała. A od tej pory... No cóż, nie umknął mu fakt, że podczas takich upałów, jak teraz, ludzie nie nosili niemal żadnej odzieży w swoich norach i w ich pobliżu – i nikt nic sobie z tego nie robił.

– Na górze jest bardzo gorąco – rzekła Meg cicho, wiedziała jednak, że ją słyszy. Jego uszy może i wyglądały na ludzkie, nadal jednak był Wilkiem. – Zniosłam tu trochę jedzenia na śniadanie.

– Wezmę szybki prysznic i dołączę do ciebie.

Szybko wszedł do środka i po schodach do łazienki w swoim mieszkaniu. Mycie ciała i włosów trwało krótko, ale stał pod prysznicem, żeby nacieszyć się spływającą po ciele chłodną wodą. Jednocześnie zaczął rozmyślać o tym, jaką komplikacją była w jego życiu Meg Corbyn.

Przywiózł ją do Dziedzińca i zaproponował pracę w charakterze łącznika, jeszcze zanim się zorientował, że jest wieszczką krwi, *cassandra sangue* – rasą ludzkich samic, które widziały przyszłość, gdy nacinano ich skórę. Uciekła od mężczyzny, który był jej właścicielem i wykorzystywał ją, a Simon i reszta *terra indigena* z Lakeside przyjęli ją do siebie.

Brzmiało prosto, ale wcale takie nie było. W Meg nic nie było proste. Była niczym kamień wrzucony do stawu – fale, które powstały na powierzchni wody, zmieniły niemal wszystko, łącznie z *terra indigena*, którzy się z nią zaprzyjaźnili. Ze względu na Meg mieszkańcy Dziedzińca zaczęli wchodzić w bezprecedensowe interakcje z ludźmi – działo się tak po raz pierwszy od wielu wieków. Ze względu na Meg *terra indigena* w całej Thaisii starali się ocalić pozostałe wieszczki krwi, porzucone niczym niechciane szczenięta przez ludzi, którzy kiedyś byli ich właścicielami. Ze względu na Meg na Dziedzińcu w Lakeside zamieszkało stado ludzi, dzięki którym *terra indigena*, pobierający ludzką edukację, nabierali doświadczenia i mogli ćwiczyć swoje umiejętności na ludziach bez ponoszenia odpowiedzialności za swoje błędy.

To właśnie przez Meg zaczął odnosić wrażenie, że w jakiejś niewielkiej części stał się człowiekiem i nie da już się tego cofnąć.

Przez te wszystkie lata dużo ludzkich samic chciało przejść na dziką stronę i uprawiać seks z którymś z przedstawicieli *terra indigena*. A wielu *terra indigena* zastanawiało się, jak to jest uprawiać seks w ludzkiej postaci. Ciekawość jednak kończyła się na zaspokojeniu swoich potrzeb w ciągu jednej nocy – potem każdy szedł swoją drogą. Albo – jak w przypadku Sanguinatich – pożądanie było wykorzystywane w charakterze wabika, żeby nasycić się krwią wybranej ofiary.

Uprawianie seksu a bycie z kimś w parze to jednak dwie różne rzeczy. Taki związek to już poważna sprawa. Chodziło o stado, o ro-

dzinę. Niektóre gatunki *terra indigena* łączyły się w pary na całe życie, inne – nie. Nawet wśród tych pierwszych zdarzało się, że związek się rozpadł. Ojciec Simona, Elliot, nigdy nie mówił o tym, dlaczego jego samica go porzuciła. A Daphne, siostra Simona, w ogóle nie opowiadała o swojej parze ani o tym, dlaczego przybyła do Lakeside sama tuż przed tym, jak na świat przyszedł jej szczeniak.

Nie, takie związki nie zawsze mogły przetrwać, a gdy się rozpa- dały, konsekwencje były niewielkie. Po rozstaniu się pary dominu- jącej mógł nastąpić rozpad stada. Niektórzy mogli przyłączyć się do stad zamieszkujących nawet inne części kontynentu. Rozpad związ- ku z reguły nie zagrażał istnieniu gatunku – a przecież mogło się to wydarzyć, jeśli przyjaźń Simona i Meg stałaby się czymś więcej, ale nie przetrwała fizycznego aktu parzenia się. Wiedział o tym. Wie- dzieli o tym również Tess, Vlad i Henry. Oraz część ludzi. Podej- rzewał jednak, że Meg nie miała o tym pojęcia. Nie był pewien, czy okaże się na tyle silna i udźwignie jeszcze to – już i tak proszono ją o zbyt wiele.

Zranili ją ludzie, którzy ją uwięzili i wykorzystali. Skrzywdzili ją tak, że od tej pory bała się ludzkich samców. Owszem, od czasu do czasu Simon zastanawiał się, czy uprawianie seksu z Meg byłoby w jakiś sposób wyjątkowe, nie chciał jednak ryzykować zerwania łączącej ich więzi. Musiał być bardzo ostrożny – ze względu na Meg, na siebie, na wszystkich. Ile z tego, co ludzkie, zechcą zachować *ter- ra indigena*? Starsi zadali to pytanie, nie określając, czy chodzi o po- pulację ludzi, o ich wynalazki, czy o jakieś nieuchwytnie cechy, które były przyswajane razem z fizyczną postacią, jeśli przybrało się ją na dłuższy czas.

Zakręcił wodę, wytarł się, a następnie założył parę przyciętych dżinsowych spodni.

Gdy Starsi zapytali o to po raz pierwszy, pomyślał, że czekają na odpowiedź w postaci słów. Kiedy jednak wybuchła wojna w Celtycko-

-Romańskiej Wspólnocie Narodów po drugiej stronie Atlantyku, a Starsi podjęli decyzję o zmniejszeniu i oddzieleniu ludzkich stad w Thaisii, Simon zrozumiał, że odpowiedź będzie zależała od tego, czego dowiedzieli się oni o wydarzeniach na Dziedzińcu i w jego okolicach.



Meg rozstawiała naczynia na małym stoliku w letnim pokoju, ale myślami nadal była przy Simonie i Karlu Kowalskim, którzy stali przy wodzie i rozmawiali. Simon wyglądał na szczęśliwego. Karl stał tyłem do okien pokoju, nie mogła więc dostrzec jego twarzy, jego sylwetka wskazywała jednak na to, że jest spięty. Dlaczego jednak miałby się denerwować czymś, co Simonowi zdawało się sprawiać taką radość? Z drugiej strony – Wilki i ludzie rzadko podchodzili do spraw w taki sam sposób.

Ich ciała pokazywały przeciwne emocje, ale Meg zauważyła też kilka podobieństw. W przeciwieństwie do Henry'ego Niedźwiedziej Straży, wielkiego i umięśnionego nawet w ludzkiej postaci, Simon i Karl mieli silne i szczupłe mięśnie myśliwych, którzy ganiłi za ofiarą – choć Karl pewnie rzadko musiał ganiać za ludźmi, których chciał aresztować. Obaj mieli ciemne włosy, ale włosy Karla były krótsze niż Simona. Prawdziwa różnica – widoczna niemal od razu – dotyczyła jednak ich oczu. Karl miał piwne, a Simon – bursztynowe, w postaci zarówno wilczej, jak i ludzkiej.

Gdy Karl odszedł, uwagę Meg przykuły pewne części ciała Simona, których z reguły nie pokazywał. Nie potrafiła stwierdzić, co czuła, patrząc na nie. Owszem, była przerażona, ale też trochę ciekawa. Ona i Simon się przyjaźnili, uwielbiała Sama, jego siostrzeńca. Co więcej, zostali partnerami, którzy próbowali ocalić Dziedziniec – i miasto Lakeside. Zaangażowali się również w pomoc dla *cassandra sangue*, starających się przetrwać w tym przepelnionym doznaniem światie.

Czytała wiele opowieści o parach – ludzi coś do siebie przyciągało, kłócili się ze sobą, dochodziło między nimi do nieporozumień, uprawiali seks albo zrywali, jeszcze zanim ich związek zdążył się rozwinąć. Jednak to były ludzkie pary, a nie wieszczka krwi i Wilk. Jej ciało wciąż pamiętało krzywdy, jakie spotkały ją w kompleksie, jednak jej umysł już dawno je wyparł. Po tych przeżyciach o wiele łatwiej było jej przebywać z Simonem, gdy miał wilczą postać. W głębi duszy wiedziała, że Simon nigdy nie skrzywdziłby jej, tak jak tamci mężczyźni w kompleksie, ale to w towarzystwie Wilka czuła się bezpieczniej – mimo jego klów i pazurów.

Mimo wszystko teraz, gdy zobaczyła go bez ubrań... Owszem, to było przerażające, ale coś w niej zatrzepotało; zaczęła się zastanawiać, jakby to było, gdyby...

– Jesteś zdenerwowana.

Niemal przewróciła szklankę wody. Nie słyszała, jak Simon wszedł do pokoju.

– Wcale nie. – A jednak. Jego męskie ciało, które widziała w całej okazałości – poza przerażającymi, ukrytymi w spodniach fragmentami – bardzo ją rozpraszało. A potem zorientowała się, że ma na sobie tylko cienką bawełnianą sukienkę i majtki. Gdy ubierała się po porannym prysznicu, nie miało to większego znaczenia.

„Sama się o to prosiła”. Nie pamiętała, czy przeczytała to zdanie w jakiejś książce, czy było to wspomnienie – wizja ze starego proroctwa. Wiedziała jednak, że właśnie taką wymówkę podawał mężczyzna, zmuszając ją do uprawiania z nim seksu.

Nie zastanawiała się nad tym, co na sobie miała, ale skoro ona zwróciła uwagę na ciało Simona, to może on zwrócił uwagę na nią? Tak jakby...

„Sama się o to prosiła”.

Nie! Ludzki samiec może pomyślałby w ten sposób, ale nie Simon, nawet w ludzkiej postaci. Jej mózg doskonale zdawał sobie z tego sprawę – o wiele łatwiej byłoby, gdyby zrozumiało to również jej ciało.

– Oczywiście, że tak. – Podszedł bliżej i zmrużył bursztynowe oczy. Wcześniej jednak Meg zdążyła dostrzec czerwone błyski, co oznaczało, że był zły. – Pachniesz zdenerwowaniem. I trochę chciwą, ale głównie zdenerwowaniem. – Warknął, obnażając zdecydowanie mało ludzkie kły. – Czy Kowalski cię zdenerwował?

– Nie. – Czula, że cała się trzęsie, jednak jej odpowiedź zabrzmiała stanowczo i ostatecznie. Ostatnie, czego pragnęła, to by Simon zezłościł się na któregoś z jej ludzkich przyjaciół. – Myślałam o czymś smutnym.

Przestał warczeć i przekrzywił głowę – teraz wyglądał bardziej na zdumionego niż złego.

– Dlaczego miałabyś myśleć o czymś smutnym?

Zacząła się w niego wpatrywać. Nie chciała mu powiedzieć, o czym myślała – a tak z pewnością brzmiałoby jego kolejne pytanie – wzruszyła więc ramionami i zmieniła temat na taki, który z pewnością go zainteresuje: jedzenie.

– Nie mogłam zdecydować, co zrobić na śniadanie, więc przyniosłam dużo różnych rzeczy, łącznie z tym. – Podniosła mały pojemniczek i łyżeczkę, ale nagle się zawahała.

– Co to jest?

– Jogurt. – Przełknęła porcję białej zawiesiny i zaczęła się zastanawiać, dlaczego zdaniem Merri Lee i Ruth jogurty są smaczne. Może to kwestia gustu? – Spróbuj. – Wyciągnęła łyżeczkę z kolejną porcją w stronę Simona, zastanawiając się, jak zareaguje.

Przechylił się i zaczął ją wachać. A potem zjadł.

Meg wstrzymała oddech, niepewna, czy Simon przełknie czy wypłuje jogurt.

Przełknął. A potem spojrział na pozostałe pokarmy, które przyniosła.

– Dlaczego miałabyś jeść to coś, skoro możesz jeść plastry mięsa bizona?

Meg nie lubiła bizoniego mięsa.

– Merri Lee i Ruth mówią, że jogurt jest dobry dla wnętrzości, zwłaszcza dla wnętrzości dziewczyny.

– Cieszę się, że nie jestem dziewczyną – mruknął Simon, a następnie nałożył sobie na talerz kilka plastrów mięsa, rozglądając się za odpowiednimi dodatkami.

Meg wmusiła w siebie jeszcze jedną łyżeczkę jogurtu, a potem zamknęła pojemniczek. Wystarczy. Dzisiaj już dostatecznie zadbała o swoje wnętrzości. Zjadła połowę jagód i podsunęła miskę Simonowi. Miała nadzieję, że odmówi, on jednak z radością przyjął swoją część, przez co Meg musiała się zadowolić plasterkiem ostrego sera.

– Prawie nic nie jesz – zauważył kilka minut później.

– Na razie mi wystarczy. – To była prawda; przed pracą chciała jeszcze zajrzeć do Czegoś na Ząb i sprawdzić, co Nadine Fallacaro i Tess przygotowały do baru na Dziedzińcu.

Zabrali resztę jedzenia do jej mieszkania, a następnie pozmywali. Później Simon poszedł do siebie, żeby przebrać się do pracy.

Meg przyglądała się ubraniom wiszącym w szafie, rozważając, które z nich nadają się dla łączniczki i jednocześnie są na tyle praktyczne, żeby mogła założyć je w upalny, parny dzień. Ostatecznie wybrała ciemnozielone szorty, brzoskwiniową koszulkę z krótkim rękawem i wygodne sandały.

Upewniła się, że schowała do plecaka książkę, którą aktualnie czytała, a potem zamknęła drzwi do mieszkania i zeszła na dół, żeby poczekać na Simona.



Porucznik Crispin James Montgomery odwrócił głowę, by spojrzeć na Grega O'Sullivan, agenta Biura Śledczego, który siedział z tyłu radiowozu. Gdy O'Sullivan popatrzył znacząco na trzeciego mężczyznę w samochodzie, Monty zerknął na swego partnera, ofi-

cera Karla Kowalskiego, który wioził ich na spotkanie z nowym p.o. burmistrza i komisarzem policji.

Kowalski był pełnym wigoru mężczyzną pod trzydziestkę. Jako policjant bardzo zaangażowany w swoją pracę, starał się pomagać ludziom z Lakeside w nawiązaniu dobrych relacji z *terra indigena* – miał przez to problemy z właścicielem, od którego wynajmował mieszkanie; poróżnił się też ze swoimi rodzicami i bratem.

Ale po wybicciu ludzi w kilku miastach na Środkowym i Północnym Zachodzie w odwecie za rzeź Wilczej Straży na tych samych terenach, po burzach, które przeszły nad Thaisią i Lakeside, po tym, jak ludzie na krótko zobaczyli przerażających *terra indigena*, którzy żyli na dzikich obszarach i rządzili nimi, Monty zastanawiał się, czy zdaniem Kowalskiego nadal istnieje szansa na to, że ludzie przetrwają wściekłość Żywiołów i *terra indigena*, znanych jako kły i pazury Namid.

Zastanawiał się również, co zrobi, jeśli Kowalski i Michael Debany, drugi policjant w ekipie, zechcą pracować w innym zespole albo nawet przenieść się na inny komisariat w Lakeside.

– Wszystko w porządku? – spytał Monty, choć wiedział, że pytanie o to siedzącego w samochodzie O’Sullivanana nie ma większego sensu. Agent robił, co mógł, żeby zachęcić do dialogu Simona Wilczą Straż i pozostałych członków Stowarzyszenia Przedsiębiorców Dziedzińca, nikt jednak nie znał go na tyle dobrze, żeby uważać go za przyjaciela.

Kowalski zatrzymał się za autobusem, do którego właśnie wsiadali pasażerowie. Czemu go nie ominie? Jeśli będą czekać za autobusem na każdym przystanku, spóźnią się na zebranie.

Kątem oka Monty zobaczył, jak O’Sullivan zakrywa dłonią swój zegarek, co oznaczało jedno: możemy się spóźnić.

Monty i O’Sullivan byli swoimi fizycznymi przeciwieństwami. Greg O’Sullivan był po trzydziestce, miał zielone, bystre oczy

i krótkie włosy, które zaczęły mu się przerzedzać na czubku głowy. W pracy był gorliwy i wykonywał wszystkie polecenia niczym surowy, zawzięty wojownik. Monty był najstarszy ze wszystkich mężczyzn, choć wciąż przed czterdziestką. Miał ciemną karnację, brązowe oczy i krótkie, kręcone, siwiejące już włosy – poza tym nie wszystkie zmarszczki na jego twarzy były mimiczne. Już nie.

– Dzisiaj rano urządziłem sobie przejażdżkę rowerową po Dziedzińcu, a skończyłem, bawiąc się w ganianego z Wilkami – powiedział Kowalski. – Zostałem wyznaczony do odegrania roli ofiary.

O’Sullivan pochylił się do przodu.

– Wszystko w porządku? – upewnił się.

Kowalski spojrział we wsteczne lustro i ominął autobus, który zatrzymał się na kolejnym przystanku.

– No cóż, nie planowałem aż tak intensywnych ćwiczeń przy tej pogodzie. Wilki nie zrobiły mi krzywdy, jeśli o to pytasz. Nawet nie próbowały. Dla nich to była zabawa; widocznie w jakiś sposób zasygnalizowałem, że mam na nią ochotę. Ale, na bogów, gdy zobaczyłem je na rynku... Nie chodzi o to, że zapomniałem, jakie są wielkie, ale naprawdę nie miałem pojęcia, jakie wrażenie robią ich gabaryty, gdy polują. Kiedy zobaczyłem, że biegną w moją stronę, instynkt podpowiedział mi, żeby uciekać. Oczywiście mi się nie udało.

– A wiesz, w jaki sposób zaprosiłeś je do zabawy? – spytał cicho Monty.

Kowalski na chwilę skupił się na prowadzeniu.

– Simon powiedział, że zamiast przyjąć zaproszenie do zabawy, dziewczyny zatrzymują się i pytają, w czym mogą pomóc – pewnie więc chodziło o to, że zamiast przystanąć, ruszyłem do przodu.

– Instynkt drapieżnika – rzekł O’Sullivan. – Gdy coś biegnie, drapieżnik zaczyna to gonić.

– Wcześniej nigdy nie gonili żadnego z nas, a przecież cały czas jeździmy rowerami do ogrodu warzywnego w Zielonym Komplek-

sie. – Światło zmieniło się na żółte. Kowalski zahamował, zamiast przyśpieszyć. – Z początku myślałem, że Wilki, które mnie gonią, nie słyszały o tym, że otrzymaliśmy pozwolenie na jazdę na rowerze po brukowanych ulicach. Potem jednak rozpoznałem Nathana i chyba Simona. Przy drogach nadal stoją tabliczki z ostrzeżeniem „Intruzi będą zjadani”, więc gdy zobaczyłem, że Wilki pędzą w moją stronę... – Wypuścił powietrze i wcisnął pedał gazu, gdy ponownie zapaliło się zielone światło. – To tylko zabawa. Zdaniem Simona wszyscy świetnie się bawiliśmy. Owszem, Wilki na pewno miały niezły ubaw.

– A ty? – spytał Monty.

– Patrzymy na te same rzeczy, ale nie widzimy tych samych rzeczy. Uświadomiłem sobie, jak łatwo jest wysłać jeden niewłaściwy sygnał i wszystko spieprzyć.

Monty wyrzał przez okno i zaczął się zastanawiać, jaki sygnał wysłał nowy burmistrz i komisarz policji.



Meg otworzyła biuro łącznika i spojrzała na zegarek. Nathan się spóźnił, ale Jake Wronia Straż był już na swoim posterunku, czyli na wysokim murku, oddzielającym obszar dostaw i teren za studium Henry’ego.

Wyglądało na to, że przez kolejną minutę miała biuro tylko dla siebie.

Czuła mrowienie w rękach. Nie klucie, poprzedzające potrzebę nacięcia skóry i wypowiedzenia proroctwa, ale coś łagodniejszego, bardziej wspomnienie niż trwoga.

Otworzyła szufladę i podniosła wieko drewnianej skrzynki, którą zrobił dla niej Henry. Popatrzyła na koszulki kart do przepowiadania przyszłości, których nauczyła się używać do poznawania proroctw, by już nie nacinać skóry srebrną brzytwą. Może dziś

wreszcie wyjmie z pudełka wszystkie karty i zacznie odrzucać te, które nie będą potrzebne do utworzenia talii kart Pionierki.

Zaczęła niepewnie tasować karty. Nie żeby to miało dla niej jakieś znaczenie – gdy zadawano pytanie, czuła mrowienie w dłoniach i na podstawie intensywności tego odczucia wybierała właściwe karty.

Zamknęła oczy, tak by nie widzieć koszulek. Dotknęła kart koniuszkami palców i szepnęła:

– Jakie znaczenie dla Lakeside będzie mieć spotkanie z nowym burmistrzem?

Nic. Nic się nie wydarzyło. Przejechała palcami po kartach, ale zniknęło nawet delikatne mrowienie. Potem jednak pojawiło się pieczenie w opuszkach palców prawej dłoni. Zaczęła rozsuwać karty, aż dotarła do tej, która wywoływała to uczucie. Wzięła ją i otworzyła oczy – знаła odpowiedź, jeszcze zanim spojrzała na obrazek. Karta pochodziła z dziecięcej talii i została wmieszana w karty prorocत्व. Obrazki z dziecięcych kart były bardzo przydatne, choć odpowiedzi, które układała na ich podstawie, z reguły były niepożądane.

Co oznacza dla Lakeside nowy burmistrz? Wielki znak zapytania. Przyszłość nieznaną. Przyszłość Lakeside była nieznaną, odkąd mieszkający tu *terra indigena* uświadomili sobie, że odpowiedź Starszych na działania ruchu Ludzie Przede i Nade Wszystko będzie bardzo, bardzo ostra.

Dzisiaj jednak Meg miała nadzieję na inną odpowiedź.

Odłożyła kartę i już miała zamknąć skrzynkę, gdy do głowy przyszło jej kolejne pytanie. Lakeside było miastem kierowanym przez ludzi, ale Dziedziniec należał do *terra indigena*. W obliczu ostatnich wydarzeń pojawienie się wrogich stosunków między ludźmi a Innymi mogło mieć straszliwe konsekwencje.

Zamknęła oczy i ponownie położyła palce na kartach. Gdy po raz pierwszy przepowiadała z nich przyszłość, postanowiła, że z trzech wy-

ciągniętych kart pierwsza będzie symbolizować podmiot, druga – akcję, a trzecia – skutek. Nie wiedziała, czy tak właśnie ludzie przepowiadają przyszłość z kart, wyglądało jednak na to, że jej się to udawało.

– Co się stanie z moimi przyjaciółmi z Dziedzińca? – Zaczęła powtarzać to pytanie i szukać obrazków, z których mogłaby wyczytać odpowiedź. Wybrała trzy karty, wywołujące największe mrowienie w palcach, zaniósła je do wielkiego drewnianego stołu do sortowania i zaczęła odwracać w kolejności, w jakiej je wybrała.

Na pierwszej znajdowały się trzy obrazki: pociąg, autobus i samochód. Na drugiej – wybuch. Na trzeciej... znak zapytania. Przyszłość nieznana.

Niedobrze.

Wyjęła z szuflady notes, otworzyła go na czystej stronie, a potem spisała pytania i wyciągnięte w odpowiedzi karty.

Nie miała ochoty odkładać kart na miejsce, dopóki ich komuś nie pokaże, ale też nie miała ochoty pokazywać ich nikomu ze Stowarzyszenia Przedsiębiorców. Może powie o tym któremuś ze swych ludzkich przyjaciół? Po drugiej stronie ulicy, w dwurodzinnym domu na Wroniej Alei, mieszkała Ruth Stuart, a Merri Lee wprowadzała się do mieszkania w jednym z sąsiednich kamiennych budynków. Budynek ten został ostatnio zakupiony przez Dziedziniec w celu zapewnienia pracownikom miejsca do życia, jeśli zostaliby oni wyrzuceni z mieszkań wynajmowanych od innych ludzi.

Sapnęła, usłyszawszy pukanie do drzwi oddzielających sortownię od zaplecza. Uspokoili się, widząc Twylę Montgomery – czekała, aż ktoś ją wpuści. Sortownia była z reguły niedostępna dla ludzi – poza kilkoma wyjątkami – a ponieważ na targ przychodziło ostatnio tyle różnych osób, granic strzegły warczenia i odsłonięte kły.

– Dzień dobry, pani Twylo – rzekła Meg.

Usłyszała jakiś hałas z pomieszczenia z przodu. Najwyraźniej w czasie, gdy układała karty, do pracy przyszedł Nathan.

– Dzień dobry, pani Meg. – Twyla przeszła przez pokój; postawiła na stole kubek termiczny i pojemnik. – I dzień dobry panu, panie Nathanie. Dzisiaj będzie bardzo parno i wszystko będzie się lepić. Nie zazdroszczę panu noszenia futra, choć jest przepiękne.

Zapadła cisza. Po chwili Nathan odpowiedział cichym „arroo” i wrócił na swoje posłanie pod jednym z wielkich okien.

Meg się uśmiechnęła. Twyla Montgomery była matką porucznika Montgomery’ego – chudą kobietą o ciemnej skórze, która z wiekiem coraz bardziej zwiślała, brązowych, przeważnie łagodnych oczach i krótkich kręconych włosach, już bardziej siwych niż czarnych. Była również bardzo rozsądna i nie dawała sobie w kaszę dmuchać – dzięki czemu Wilki wołały obserwować ją z bezpiecznej odległości.

– Do Czegoś na Ząb przyszedł pan Simon; narzekał na jogurt, dziewczęce wnętrzości i na to, że nie lubi pani bizoniny – rzekła Twyla. – Pomyślałam sobie, że może dopadła go jakaś choroba mózgu i zaczął gadać bzdury, ale pani Tess powiedziała, że pewnie zjadła pani za mało na śniadanie, więc przygotowała kanapkę z jajkiem i jeszcze coś. – Chwila ciszy. A później: – Dziewczyno, czy ty sobie odmawiasz jedzenia?

– Nie, proszę pani. Zjadłam mało w domu, bo planowałam kupić coś w drodze do pracy. – Ponieważ Twyla nie odrywała od niej wzroku, Meg dodała: – I naprawdę nie lubię bizoniego mięsa.

– Kiedyś spróbowałam kawałek i mi też nie zasmakowało. Podejrzewam jednak, że gdybym miała do wyboru zjeść bizoninę albo chodzić głodna, to bym ją zjadła – i ty też.

Meg pokiwała głową.

– W obliczu takiego wyboru pewnie nawet Simon polubiłby jogurt.

Twyla zaczęła się śmiać.

– Tak sądzisz?

Meg wyobraziła sobie, że ktoś podaje jej talerz z zamoczonymi

w jogurcie zawijasami z bizona. Wzdrygnęła się i zaczęła rozważać, czy można zrobić sałatkę ze zwykłej trawy.

Twyla popukała palcami w trzy karty leżące na stole.

– O co w tym chodzi? A może nie możesz mi tego zdradzić?

– To karty do przepowiadania przyszłości, ale ja nazywam je kartami prorocत्व. Próbuję odkryć, czy niektóre z *cassandra sangue* mogą wykorzystać je do wypowiadania prorocत्व zamiast nacinania swojej skóry. Tysiąc razy. Powiedziano, że tyle właśnie razy może się skaleczyć wieszczka krwi, zanim zginie lub oszaleje. – Ponieważ większość wieszczek nie dożywała trzydziestych piątych urodzin, dwudziestoczworoletnia Meg odczuwała ogromną motywację, żeby znaleźć alternatywę dla brzytwy.

– I co te karty ci mówią? – spytała Twyla.

– Nie wiem. Spytałam, co się stanie z moimi przyjaciółmi z Dziedzińca. I w odpowiedzi wyciągnęłam właśnie te karty. – Meg poczekała, aż starsza kobieta stanie przy stole obok niej. Potem powiodła palcem od jednej karty do drugiej. – Podmiot, akcja, skutek.

Twyla zmarszczyła czoło, patrząc na pierwszy obrazek – pociąg, autobus i samochód.

– Jakaś podróż? Albo transport?

– Możliwe, że jedno i drugie. Ta karta oznacza podmiot, ale może też oznaczać, że którąś z tych form transportu ktoś, albo coś, przyjedzie do Lakeside. Wybuch, czyli karta akcji, może oznaczać prawdziwy wybuch bomby albo na przykład wybuch ostrego konfliktu między grupami ludzi. Może więc grupa podróżujących do Lakeside sprowadzi na Dziedziniec jakieś problemy. Nieźle wychodzi mi już wybieranie kart, zawierających odpowiedzi, ale razem z Merri Lee nadal pracujemy nad opracowaniem prawidłowego sposobu ich interpretacji.

Gdy patrzyła, jak Twyla przygląda się kartom, zaczęła jej mrowieć skóra między łopatkami.

– A co oznacza znak zapytania? – spytała zmartwiona kobieta.

– Przyszłość nieznana. Taką samą odpowiedź wylosowałam, kiedy dziś rano spytałam o przyszłość miasta Lakeside. – Meg przyjrzała się Twyli. – Pani wie, co oznaczają te karty, prawda?

– Mam pewien pomysł, ale to nie jest nic, czym chciałabym się dzielić. Jeszcze nie teraz.

Twyla ruszyła na zaplecze.

– Dziękuję za jedzenie! – zawołała za nią Meg.

Kobieta odwróciła się, żeby na nią popatrzeć.

– Bardzo proszę. I nie żałuj sobie jedzenia. Nie ma takiej potrzeby.

Gdy Meg usłyszała, jak drzwi na zaplecze się zamykają, zaczęła się drapać po plecach. Lubiła Twylę Montgomery – nawet Inni obdarzyli starszą kobietę zaufaniem, a w przypadku kogoś, kogo znali tak krótko, była to rzadkość. To właśnie dlatego Meg czuła się teraz tak niepewnie.

Miała nadzieję, że pani Twyla podzieli się z nią swymi obawami, zanim wydarzy się coś złego.



Twyla czyściła blaty stołów w konsulacie – w należącym do Elliota Wilczej Straży budynku na Dziedzińcu. Elliot był twarzą Dziedzińca, *terra indigena*, który rozmawiał z burmistrzem i członkami rady miasta, brał udział w wydarzeniach politycznych i udzielał wywiadów prasie. Szybko jednak zrozumiała, że prawdziwym liderem Dziedzińca jest Simon.

– Nigdy jeszcze żaden człowiek nie wycierał tych stołów tak długo – rzekł Elliot za jej plecami.

Podskoczyła i odwróciła się w stronę Wilka. Nie usłyszała, jak zszedł na dół ze swego gabinetu na piętrze.

Na pierwszy rzut oka wyglądał na prezesa dużej i dobrze pro-

sperującej firmy: nosił drogie garnitury, przycinał włosy u fryzjera, który prawdopodobnie brał za to więcej, niż ona zarabiała przez tydzień, a jego umięśnione i szczuple ciało świadczyło o tym, że wiele godzin spędzał na siłowni. Tak, wyglądał jak prezes, a politycy i inni prezesi mogli sądzić, że również myśli tak jak oni. Ale miał bursztynowe oczy Wilka i nawet jeśli ludzie czasem nie brali pod uwagę tego, kim był, on z pewnością cały czas o tym pamiętał.

– Widzę, że w ogóle poświęcali mało czasu na sprzątanie. Dlatego teraz tyle mi to zajmuje – odparła.

Zaczął się jej przyglądać. Przyzwyczaiła się do tego. Wrony, które pracowały na rynku, zawsze miały do niej mnóstwo pytań, a gdy wybierała się do sklepu na zakupy, przynajmniej jedna z nich szła z nią i wypytywała o wybór konkretnych produktów. Wilki starały się ją poznać, starały się poznać wszystkich ludzi, którzy mieli dostęp do sklepów na Dziedzińcu, zauważyła jednak, że ją, Nadine Fallacaro i Katherine Debany, matkę oficera Debany'ego, obserwowali uważniej niż młodsze kobiety należące do stada Meg Corbyn.

Przecież w stadzie Wilków też było tak, że starsze samice uczyły młodsze, prawda?

– Podejść tutaj – rzekł Elliot. A kiedy nie ruszyła się z miejsca, dodał: – Proszę.

Zaprowadził ją do stojących pod ścianą szafek na dokumenty i wskazał stos teczek na niewielkim stoliku pod ostatnią szafką.

– Wiesz, jak to posegregować?

Wzięła jedną z teczek, spojrzała na tytuł na okładce i znalazła właściwą szufladę. Potem podeszła do kolejnej szuflady. I kolejnej. Po chwili wszystko zamknęła, odwróciła się i spojrzała na Elliota.

– Co to jest? – zapytała.

– To ludzki sposób segregowania dokumentów.

– To pan tak twierdzi.

W jego oczach pojawiły się czerwone błyski.

– Co to oznacza?

– Że ten, kto to zrobił, miał własny system znajdowania różnych dokumentów i nikt inny nie znał tego systemu – albo ten ktoś był głupcem i po prostu wsadzał różne akta do szuflad z nadzieją, że nikt nigdy nie każe mu niczego znaleźć. – Twyla zrobiła krok do przodu, żeby rzucić teczkę na stos; a Elliot patrzył na nią tak, jakby miał ochotę rozerwać ją na strzępy.

– Możesz to naprawić? – spytał. Sprawiał wrażenie, jakby miał problemy z wypowiedaniem niektórych słów, co było dziwne, bo jeszcze pięć minut wcześniej mówił całkiem wyraźnie. – Umiesz pracować w takim miejscu?

Na Dziedzińcu każdy miał jakąś pracę. A w stadzie Wilków każdy miał jakąś pozycję. Wprawdzie nie wszyscy ludzie, którzy mogli otrzymywać część zysków Dziedzińca, dostawali jakieś zadania, jednak wiadomo było, że Inni oczekiwali, by nowo przybyli wykazali się jakimiś przydatnymi umiejętnościami – wtedy zyskiwali akceptację stada.

Twyla zaczęła się zastanawiać. Owszem, byłaby to jakaś odmiana po myciu podłóg i szorowaniu toalet – ale przecież to też ktoś musiał robić. Podejrzała, że do Elliota przychodziło niewielu gości, byłaby to więc praca spokojniejsza niż w sklepie na rynku, a jej przydałoby się trochę spokoju, skoro popołudniami miała pomagać w opiece nad dziećmi.

– Nie umiem pisać na maszynie i nie znam się na komputerach – powiedziała wreszcie. – Jedyne, co mogę robić, to odbierać telefony i segregować dokumenty. Ale tylko rano, gdy dzieci są na lekcjach. Przyjechałam do Lakeside, żeby pomóc Crispinowi w opiece nad Lizzy – i ta praca jest dla mnie najważniejsza.

– Oczywiście. Dbamy o nasze młode – odrzekł Elliot, tym razem spokojnie i wyraźnie. A po chwili dodał: – Sam to mój wnuk.

Twyla się uśmiechnęła.

– To miły chłopiec. – Widywała Sama w okolicach rynku; czasami bawił się z innymi dziećmi, jednak najczęściej spędzał czas

z Meg Corbyn i młodym Wilkiem o imieniu Jedynek. Gdy za pierwszym razem zobaczyła jego szare oczy, pomyślała, że jest ludzkim dzieckiem o dziwnym kolorze włosów – były złotosiwe. Wzięła go za młodszego brata albo kuzyna Meg. A potem zobaczyła Meg ze szczeniakiem o identycznym umaszczeniu.

– Sierra napisała, że umie obsługiwać komputer i pisać na maszynie – zauważył Elliot. – Może ona mogłaby...

– Nie. – Stanowczość w jej głosie zaskoczyła ją bardziej niż Elliota. Miała jednak czas, by zastanowić się nad kartami prorocत्व, które wylosowała Meg. Nie wiedziała, w jaki sposób ktoś inny mógłby zinterpretować te karty, jednak stwierdziła, że prorocत्व dotyczy jej rodziny. Poczula wściekłość i zawód, dowiedziawszy się, że Sierra okłamała Crispina, mówiąc, że nie miała jak się skontaktować z ich bratem, Cyrusem. Gdyby powiedziała prawdę, Crispin i tak nie pokryłby kosztów biletu na pociąg dla brata, tak jak zrobił w przypadku matki, siostry i dzieci, ale z pewnością zadzwoniłby do niego i kazał wyjechać z Toland, zanim nadeszła burza.

Popatrzyła na Elliota. Nie był prawdziwym przywódcą, ale miał określoną pozycję na Dziedzińcu i wśród Wilków. Nie mogła prosić Crispina, żeby potwierdził to, co podejrzewała. Jako policjant miał możliwość ustalenia pewnych informacji, gdyby jednak dowiedział się, że młodsza siostra kontaktowała się z Cyrusem, pokłóciliby się.

– Moja Sierra to dobra dziewczyna. Mądra i miła, potrafi ciężko pracować i kocha swoje dzieci. I przeważnie można jej ufać. Ale, panie Elliot, wszyscy mamy swoje słabości, a jej słabością jest brat Cyrus. Potrafi ją ogłupić i przekonać do robienia rzeczy, których normalnie by nie robiła, bo wie, że są złe. – Twyla rozejrzała się po konsulacie. – To jak gabinet osoby sprawującej władzę. Niektóre sprawy należą do codzienności i się nie liczą, a do niektórych nie powinien się wtrącać nikt poza panem. Gdyby Sierra tu pracowała, a Cyrus pojawiłby się i zaczął ją namawiać do zdradzenia mu informacji, które mógłby potem sprzedać,

przez jakiś czas by się opierała, ostatecznie jednak dałaby mu to, o co prosi. A potem jeszcze usprawiedliwiłaby jego zachowanie. I w ten sposób wszyscy wpadlibyśmy w poważne tarapaty.

– Ale przecież Cyrusa tu nie ma – zauważył Elliot.

– Myślę, że może już być w drodze. – Kobieta podeszła do jednego z biurek i zapisała numer telefonu do Zabójczo Dobrych Lektur. Oderwała karteczkę i wręczyła ją Elliotowi. – Sierra powiedziała mi i Crispinowi, że Cyrus nie zostawił do siebie żadnego kontaktu. Wydaje mi się, że skłamała. Że odkąd tu jesteśmy, zadzwoniła do niego już kilka razy. Nie umiem powiedzieć, czy dzwoniła bez pozwolenia. Gdy jednak pod nieobecność panów Simona i Vlada nakryłam ją, jak rozmawia z aparatu przy kasie, zdenerwowała się i powiedziała, że tylko zamawiała pizzę. Ale tamtego dnia dzieci wcale nie jadły pizzy na lunch. – Zawahała się. – Policja ma swoje sposoby na sprawdzenie numerów, pod które dzwoniono z konkretnego telefonu, nie mogę jednak poprosić o to Crispina. Nawet jeśli się myślę i od czasu naszego przybycia do Lakeside Sierra nie kontaktowała się z Cyrusem, to przed naszym wyjazdem okłamała Crispina, co z pewnością doprowadziłoby do napięcia między nimi.

Cyrusowi zawsze udawało się skłócić swoje rodzeństwo, nawet jeśli Crispin stawał w obronie siostry.

– Z telefonu w księgarni dość często się dzwoni – rzekł Elliot.

– Bardzo prawdopodobne, że dzwoniono również do Toland. Pan Simon i pan Vlad z pewnością by się nie zorientowali.

– W porządku. – Złożył kartkę i schował ją do kieszeni. – Skoro twoja młoda się do tego nie nadaje, to może przychodzi ci do głowy ktoś inny?

– Katherine Debany – odparła Twyla bez wahania. – Pracowała jako osobista asystentka. Prawdopodobnie umie prowadzić takie biuro lepiej niż my wszystkie razem wzięte. Wiem, że przez kilka popołudni w tygodniu pracowała dla Pete'a Denby'ego.

Elliot nie pytał, dlaczego tak wykwalifikowana pracownica była bez pracy, a Twyla nie śpieszyła z wyjaśnieniami. Obie z Katherine zostały zwolnione, ponieważ nie chciały przyłączyć się do ruchu Ludzie Przede i Nade Wszystko.

– Powiedz Katherine, żeby do mnie przyszła. – Ruszył w stronę schodów. Postawił stopę na pierwszym, gdy zadzwonił telefon. Spojrzał na Twylę.

– Chce pan, żebym odebrała?

– Tak. – Podjął wspinaczkę. – Dziękuję.

Uśmiechnęła się i podniosła słuchawkę.

– Konsulat Dziedzińca, mówi Twyla. W czym mogę pomóc?



Rozdział 2

Środa, 1 sierpnia

Monty siedział przy stole konferencyjnym i zastanawiał się, czy kogokolwiek dziwiła jego obecność na spotkaniu, w którym udział brali również burmistrz Lakeside, komisarz policji, agent Biura Śledczego i kapitan Douglas Burke. Przecież był tylko porucznikiem i dowodził dwuosobowym zespołem.

Bezskutecznie próbował uwierzyć w to, że praca jego zespołu nie ma nic wspólnego z jego obecnością na zebraniu.

– Dziękuję, że odłożyli panowie na chwilę swoje ważne obowiązki i zgodzili się ze mną porozmawiać.

Walter Chen, nowy burmistrz, uśmiechnął się do każdego po kolei. Był to łagodny uśmiech, pasujący do niskiego wzrostu mężczyzny i jego cichego głosu. Kąciki piwnych oczu znaczyły głębokie zmarszczki, czarne włosy były dokładnie zaczesane do tyłu.

– Doceniamy możliwość spotkania się z panem – odparł Greg O’Sullivan. A potem kiwnął głową do mężczyzny, którego Monty nie kojarzył.

– Zna pan komisarza Alvareza? – spytał Chen, nieco zaskoczony.

– Nie pracowaliśmy w tym samym okręgu w Dyspozytorni, ale agent O’Sullivan jest związany z gubernatorem Hanniganem,

a ja mam przyjemność należeć do grona jego przyjaciół – odparł Alvarez. Był przystojnym, rosłym mężczyzną po pięćdziesiątce, miał błyszczące czarne oczy i gęste, ciemne, falujące włosy.

Monty spojrział na Burke'a. Zastanawiał się, co jego kapitan wie na temat mężczyzny.

– Proszę usiąść – powiedział Chen. – Może kawy? Herbaty? Mamy czarną i zieloną. Zielona przyjechała aż z Tokhar-Chin i jest sprzedawana na ryneczku nieopodal mojego domu.

Nikt nie zamówił nic do picia. Wszyscy czekali, aż burmistrz zacznie rozmowę.

On jednak zwlekał. Po chwili ponownie się uśmiechnął.

Greg O'Sullivan pochylił się do przodu.

– Czy mogę zadać panu pytanie?

– Proszę. – W głosie Chena zabrzmiała ulga.

– Dlaczego pan i komisarz Alvarez zostaliście wyznaczeni na te stanowiska?

Alvarez spojrział na Chena, potem popatrzył po twarzach pozostałych mężczyzn przy stoliku.

– Jestem świeżą krwią, mam być wsparciem dla gubernatora. Z całą pewnością nie będą z tego faktu zadowoleni dyrektorzy komisaratów w Lakeside, ponieważ w normalnej sytuacji miejsce Kurta Wallace'a, który musiał mimowolnie podać się do dymisji, zajęłby właśnie któryś z nich. Teraz jednak nie mamy do czynienia z normalną sytuacją. To miasto ma ogromne znaczenie dla całego Rejonu Północno-Wschodniego i ludzki rząd nie może sobie pozwolić na popełnienie kolejnych błędów. Ja nie wspierałem ruchu Ludzie Przede i Nade Wszystko. Mam to w aktach. Mam nadzieję, że w kolejnych tygodniach wyjdzie nam to na korzyść.

– W jakim sensie? – spytał Burke.

Alvarez się uśmiechnął.

– Zyskamy w oczach *terra indigena* na Dziedzińcu Lakeside i poza nim.

– Ja też nie wspierałem ruchu Ludzie Przede i Nade Wszystko – dorzucił Chen. – Kilka firm w mojej dzielnicy zostało zniszczonych przez ich zwolenników, doszło do kilku bójek, wskutek których kupcy przestali przyjeżdżać na rynki.

Nowy komisarz policji, który wspierał gubernatora i nie wspierał LPiNW, i nowy burmistrz, który miał w swoim otoczeniu ludzi nękanymi czy nawet pobitych przez ruch. Tak samo było w przypadku niektórych sklepów na rynku. Piekarnia i kawiarnia Nadine Fallacaro została doszczętnie spalona. Gdyby Meg Corbyn nie odczuła przemożnej potrzeby nacięcia skóry i gdyby nie zinterpretowano poprawnie jej ostrzeżenia, Nadine zginęłaby w płomieniach.

– Tak więc przybycie burmistrza Chen i mnie to dodatkowe korzyści – rzekł Alvarez, patrząc na Burke’a. – Burmistrz ma rodzinę w Tokhar-Chin, a ja w Felidae. Możemy otrzymywać wiadomości z tych miejsc i – mam nadzieję – pomóc w rozwoju i kontynuacji handlu z tymi częściami świata. Tak jak pan, kapitanie Burke, ma rodzinę w Brittanii, co okazało się bardzo pożyteczne.

– Nie miałem wieści od kuzyna Shamusa od początku lipca, ale to między innymi dzięki jego pomocy udzielonej *terra indigena* nasze statki nadal mogą pływać między Thaisią a Brittanią.

Alvarez powiódł wzrokiem po twarzach Burke’a, Monty’ego i O’Sullivana.

– Krążą plotki, że wasza trójka spotkała Żywiol, który rządzi oceanem Atlantyckim.

– Owszem. – O’Sullivan się wzdrygnął. – Ona, przynajmniej miałem wrażenie, że to samica, pozwoli statkom z Thaisii płynąć do Felidae, Brittanii, Burzowych Wysp i Afrikah. Jeśli jednak spróbujemy udać się po to, co zostało z Celtycko-Romańskiej Wspólnoty Narodów, zniszczy każdy statek z Thaisii, który wpłynie na jej wody. Dotyczy to również statków rybackich.

– Tokhar-Chin? – spytał Chen.

– Żywiół, który strzeże Pacyfiku, decyduje o tym, komu wolno wpłynąć na wody między Thaisią a Tokhar-Chin, nie mamy jednak powodu, by sądzić, że istnieje konflikt między mieszkającymi tam ludźmi a *terra indigena*.

Chen skinął głową.

– No dobrze. Czyli żyjemy w tekturowym domu, tak? Mamy miasto, które wciąż jest zarządzane przez ludzi, i teren przez nich kontrolowany, nawet jeśli został wydzierżawiony od *terra indigena*.

– Którzy mogą odmówić odnowienia umowy dzierżawy i eksmitować żyjących tu ludzi – dodał Burke. – Inni na Zachodnim Wybrzeżu tak właśnie postąpili, gdy pojawiły się problemy w Jerzy; tutaj mogą postąpić tak samo.

– Ale z pewnością nie wszyscy na raz – rzekł Burke. – Przecież granice miasta nie zostały wytyczone podczas zawierania jednej umowy. Gdy przybyło tu więcej osób, stopniowo dodawano sąsiadujące obszary. Kiedy pojawiły się konflikty między Innymi i ludźmi, sprawdziłem dzierżawę terenów w mojej okolicy. Byłem przerażony faktem, jak mało lat zostało do zawarcia kolejnej umowy i... – przerwał. Po chwili podjął, ale kolejne słowa wypowiadał z wyraźnym trudem: – Lakeside to miasto składające się z sąsiadujących ze sobą terenów, a na nich często mieszkają rodziny pochodzące z określonych części świata. Większość rodzin z mojej dzielnicy pochodziła z Tokhar-Chin. Są tam też ludzie z Felidae i Afrikah. Wydaje mi się, że ci, którzy przybyli z Brittanii, zamieszkują tereny, na których żyją potomkowie obywateli Celtycko-Romańskiej Wspólnoty Narodów.

– To chyba prawda – odparł Burke.

– Gdy zobaczyłem, ile miasto płaci za dzierżawę tych terenów – ta informacja nie była tajna, ale też trudno było ją znaleźć – zacząłem się zastanawiać, czy urzędnicy nie będą chcieli zrezygnować z dzierżawy jednej części, żeby mieć dostatecznie dużo pieniędzy na dzierżawę pozostałych, ważniejszych terenów.

Monty patrzył z uwagą na Chena. Burke zaklął pod nosem.

– Na bogów na górze i na dole! – O’Sullivan oparł się na krześle. – Czy ktoś naprawdę to rozważa?

– Nie wiem – odparł łagodnie Chen. – Wtedy byłem jedynym człowiekiem zasiadającym w radzie miejskiej i nie miałem żadnego wpływu na bieg wydarzeń. A teraz? – Pytanie zawisło w powietrzu.

Burke nachylił się do przodu.

– Przy tym krańcu jeziora Etu znajdują się cztery łatwo dostępne obszary: miasto Lakeside, miasto Talulah Falls, wieś na Wielkiej Wyspie i mieszana społeczność w Osiedlu Nadrzecznym. Z tych czterech miejsc Lakeside jest jedynym, które znajduje się pod kontrolą ludzi. Jest również jedynym, w którym ludzie mogą robić z ziemią niemal wszystko: mogą zakładać farmy, otwierać fabryki albo wyrzynać się na ulicach. Tak przynajmniej było do tej pory. Dopóki nie skonfliktowaliśmy się z Innymi, którzy mieli pilnować, żebyśmy nie popełnili jakichś głupstw, reszta *terra indigena* się do tego nie wtrącała. To jednak się zmieniło. Ludzie zadarli z pilnującymi ich *terra indigena*, Inni zostali zaatakowani – część z nich zabito, co rozwścieczyło mieszkańców dzikich terenów – *terra indigena*, których nikt nigdy nie chciał oglądać. Teraz stoją oni na naszym progu i pilnują, żebyśmy nigdy nie zapomnieli tego, co zrobiliśmy.

– W ciemności kryje się niebezpieczeństwo – dodał O’Sullivan. – Działania ruchu LPiNW wymazały granicę między ziemiami kontrolowanymi przez ludzi a terenami dzikimi i nie da się tego cofnąć.

Alvarez się zamyślił.

– Nie będziemy bezpieczni w ciemnościach – powiedział po chwili. – Czy to oznacza, że sugerujesz wprowadzenie godziny policyjnej o zachodzie słońca?

– Wydaje mi się, że w granicach miasta ludzie chodzący do kina, teatru czy na kolację nie znajdują się w większym niebezpie-

czeństwie niż wcześniej, gdy jedyne drapieżniki, które biegały po ulicach, nie tylko wyglądały jak ludzie, lecz były ludźmi – zauważył Burke. – Czy jednak ktoś jest na tyle głupi, żeby wychodzić z miasta po zmroku? To straszny sposób na popełnienie samobójstwa.

– Ponawiam zatem pytanie – rzekł Alvarez. – Czy mamy wprowadzić godzinę policyjną?

Burke zawahał się, a potem pokręcił głową.

– Dopóki nie dojdzie do nocnej rzezi, nie przekonasz ludzi, żeby wracali do domu przed zmrokiem, zwłaszcza o tej porze roku. Lepiej byłoby nakazać, żeby wszystkie sklepy i bary zamykały się przed dziesiątą czy jedenastą. W ten sposób większość pracujących na wieczorną zmianę byłaby w domach przed północą. Im mniej osób na ulicach, tym łatwiej będzie nam reagować na wezwania o pomoc, zamiast pilnować grupy osób, które zamiast rozumem, kierują się brawurą.

– Dobrze – odparł Alvarez. – Ta propozycja może wyjść od mojego biura, ponieważ to policja będzie musiała rozwiązywać wszelkie konflikty między ludźmi oraz radzić sobie z konsekwencjami... konfliktu z *terra indigena*.

Konsekwencjami konfliktu. Monty pomyślał, że to bardzo dyplomatyczny sposób na opisanie tego, co Starsi zrobili ludziom, którzy stanęli im na drodze podczas szaleństwa na ulicach. Lekarz medycyny sądowej nadal próbował dopasować poszczególne części ciała do osób znajdujących się na liście zaginionych.

Po tych ustaleniach Chen przeszedł do kolejnego tematu:

– Podróżowanie między poszczególnymi obszarami jest ryzykowne. Nawet przewożenie ładunków przez Wielkie Jeziora wiąże się z niebezpieczeństwem – powiedział. – Przez wiele miesięcy Lakeside wykorzystywało bony, żeby zapobiec gromadzeniu się łatwo psujących się pokarmów, a kupcy mogli żądać większej ceny, jeśli ktoś nie miał bonu. Przez większość czasu lu-

dzie podchodzili bardzo sensownie do kupowania rzeczy, takich jak jaja czy masło. Potem jednak zaczęło nam brakować choćby mąki – spowodowali to zwolennicy LPiNW, którzy pozwolili mieszkańcom Thaisii na sprzedawanie z zyskiem żywności w Cel-Romanii. Teraz ludzie oglądają puste półki, ponieważ są opóźnienia w dostawach. Obywatele nie mają na tyle rozumu, żeby pojąć, że brak konkretnego pożywienia jest jedynie tymczasowy. Kilka razy dziennie ktoś dzwoni do mojego biura i pyta, co mam zamiar zrobić z brakiem żywności. Ludzie nie wierzą, gdy im mówię, że może niektóre pokarmy nie są dostępne w pożądanym przez nich ilościach, ale nadal jest mnóstwo jedzenia. Z tego względu konieczny będzie sprawiedliwy podział, który jednak z pewnością wywoła sprzeciw. Jeśli w jakimś sklepie braknie jakiegoś produktu, wina może zostać zrzucana na Innych, zwłaszcza jeśli Dziedziniec cały czas będzie otrzymywał dostawy.

– Ciężarówka tubylców ziemi przywożą dobra z farm prowadzonych przez Intuitów albo Innych, a Inni przeważnie kupują produkty wyrobione w społecznościach intuicyjnych i Prostej Życia – rzekł Burke. – Te zasoby nigdy nie znalazły się na sklepowych półkach w mieście.

– Wścikłość i rozsądek rzadko idą w parze – odparł Chen. – Poza tym czy Inni nie kupują na przykład benzyny do swoich pojazdów?

Monty siedział cicho, ale wymagało to od niego dużego wysiłku. Przed burzami i pojawieniem się pierwotnych *terra indigena*, którzy zaczęli grasować na ulicach miasta, w Lakeside mieszkało około dwustu tysięcy obywateli. Mimo ostatnich wydarzeń ludzie nie brali pod uwagę faktu, że jeśli spróbują powstrzymać dostawy, jeśli nie pozwolą Innym kupować paliwa, jeśli zaczną się wtrącać w sprowadzanie żywności należącej do Dziedzińca... Z punktu wi-

dzenia Innych wyglądało to tak, że mają pod ręką dwieście tysięcy łatwych do upolowania ofiar. Z większością z nich poradziliby sobie o wiele szybciej niż z jeleniami, na które polują teraz.

– Przejrzałem raporty dostarczone przez kierowników poszczególnych komisariatów, łącznie z comiesięcznymi rachunkami za zaopatrzenie i media – rzekł Alvarez. – Czy komisariat na Orzechowej nie musi płacić podatku za wodę, tak jak wszyscy inni w Lakeside?

– Dzięki nam umorzono opłaty komisariatowi i szpitalowi po tym, jak miejscowa łączniczka z ludźmi została ranna – odparł Burke.

Alvarez i Chen popatrzyli na Burke’a, potem na Monty’ego, ale żaden z nich nie spytał o Meg Corbyn. Czyżby wiedzieli, kim ona była?

– W takim razie przysługa za przysługę – rzekł Alvarez. – Ponieważ w dzisiejszych czasach sprowadzenie czegokolwiek zza granicy wymaga niemalych wysiłków dyplomatycznych, spodziewamy się braku paliwa. Otrzymałem już jednak wytyczne od gubernatora: pierwszeństwo do paliwa będą miały pompy w miejskich garażach, ponieważ to właśnie tam tankują radiowozy, wozy strażackie i karetki. Kapitanie Burke, może niech pan i porucznik Montgomery zwrócą się do przywódców Dziedzińca, żeby tankowali właśnie w tych miejscach?

– To bardzo wspaniałomyślna propozycja – odparł Burke.

Alvarez się uśmiechnął.

– I praktyczna. Nasze przetrwanie zależy od naszej życzliwości. – Jego uśmiech zniknął. – Nie wydaje mi się, by do ludzi docierało, ile utracili w ciągu ostatnich tygodni – i ile mogą jeszcze stracić, jeśli nie będą działać ostrożnie. – Spojrzał na Burke’a. – Jako młody policjant spędziłem trochę czasu w wiosce znajdującej się na dzikich terenach. Około godziny drogi stamtąd znajdowała się ko-

lejna wioska. Pewnej nocy wybuchł konflikt między ludźmi i Innymi, zostaliśmy wezwani na pomoc. Do tej pory czasem się budzę z walącym sercem i drżącymi dłońmi, bo przypominam sobie skutki zemsty bardziej agresywnych form *terra indigena*. Jeśli tylko coś może sprawić, żeby tutaj do tego nie doszło... – przerwał. – Albo żeby już w ogóle do tego nie dochodziło, ponieważ, jak rozumiem, niektórzy policjanci nauczyli się już tego, co pan i ja.

O’Sullivan ze świstem wypuścił powietrze.

– Gubernator Hannigan chce, żebyśmy zorganizował filię Biura Śledczego tutaj, w budynku należącym do władz.

– Ale... – zaczął Monty, ale zawahał się. O’Sullivan pracował dla gubernatora i nie był to czas ani miejsce na komentowanie jego decyzji – albo rozkazów jego przełożonego.

O’Sullivan kiwnął głową, tak jakby słyszał myśli Monty’ego.

– Och, i zostawię swoje miejsce w konsulacie. Zaproponowano mi to, a ja nie chcę stracić tego powiązania z Dziedzińcem. Podejrzewam jednak, że będę musiał poradzić sobie z ludźmi, którzy mają wrogie podejście do *terra indigena* – lepiej będzie spotykać się z nimi na ich terenie.

– Mogę to załatwić – rzekł Chen i zaczął się przyglądać O’Sullivanowi. – Będziemy mieli kogoś w każdym obozie, choć niełatwo się tam teraz przebywa.

– Owszem, ale po ataku na Wilczą Straż na Środkowym i Północnym Zachodzie gubernator na otrzymaną ode mnie informację odpowiedział na tyle szybko, że udało się zapobiec podobnym atakom na Północnym Wschodzie.

– A czy istniało prawdziwe zagrożenie?

– Tego się nie dowiemy – odparł Burke. – Jeśli jednak weźmiemy pod uwagę odpowiedź Wilków z Dziedzińca, rzekłbym, że na Północnym Wschodzie mogło dojść do podobnych ataków, ale udało się zdusić je w zarodku.

Chen się zamyślił.

– Mamy szczęście – powiedział po chwili. – Tyle miejsc jest teraz odciętych od świata. Nawet nie wiemy, ile miejsc i ludzi straciliśmy. Tak jak zauważył kapitan Burke, znajdujemy się w zasięgu trzech innych wspólnot i nie jesteśmy aż tak odizolowani. Mamy też linie telefoniczne i telegraficzne, dzięki którym możemy się połączyć z wieloma miastami w Rejonie Północno-Wschodnim. Mamy więc dostęp do informacji i nie musimy się zastanawiać, czy tylko my przetrwalimy. – Spojrzał na Monty’ego i Burke’a. – Moglibyście zorganizować spotkanie z przywódcami Dziedzińca? Tak, byśmy mogli nawiązać z nimi przyjazne relacje?

– Jeśli to możliwe, chciałbym wziąć w tym udział – wtrącił Alvarez.

Burke tylko na niego spojrzał, a Monty rzekł:

– Zapytam o to.

Na tym zakończyli spotkanie. Burke podwiózł O’Sullivana na komisariat przy Orzechowej, a Monty i Kowalski wrócili na Dziedziniec.

– Może najpierw powinniśmy zająć się patrołowaniem ulic – odezwał się Monty, gdy dojeżdżali na miejsce.

Kowalski skręcił we Wronią Aleję; minął dwurodzinny dom i budynki mieszkalne, które należały już do Dziedzińca.

– Czy jest coś, o czym powinienem wiedzieć? – spytał.

– Nasz nowy burmistrz chce się spotkać z przywódcami Dziedzińca.

Przez dłuższą chwilę jechali w ciszy. W końcu Kowalski rzekł:

– O ile nie pojedzie na to spotkanie rowerem, Wilki powinny się na to zgodzić.

– Nie martwiłem się tym, że on chce rozmawiać z Wilkami. Myślałem o Tess. I o tym, co mogliby powiedzieć Chen i Alvarez, gdy poznają Meg Corbyn i zobaczą dowód na to, kim jest.

**Oficer Michael Debany,
komisariat przy Orzechowej, Lakeside**

Drogi Michaelu,

wiesz, jak wyglądają mama i tata, po bardzo burzliwej dyskusji, która tak naprawdę oznacza, że właśnie się pokłócili? I jak potrafią udawać, że nic się nie stało i normalnie z nami rozmawiać, a potem, gdy tylko wyjdziemy z pokoju, wrócić do kłótni? No cóż, wczoraj chyba byłam świadkiem takiej właśnie dyskusji między Jesse Walker i Tolyą Sanguinatem. Przejechałam obok sklepu w Bennett i widziałam ich przez okno. Oni też mnie widzieli. Jesse do mnie pomachała, a Tolya się uśmiechnęła, dlatego pomyślałam o mamie i tacie.

Nie plotkuję. Naprawdę. Ale przecież Jesse jest przywódczynią Intuitów ze Złotej Prerii, a Tolya rządzi Bennett, więc jeśli się na siebie wściekają, to naprawdę niedobrze. Zwłaszcza że nikt z nas nie wie, dlaczego tak nagle się pokłócili, skoro do tej pory dobrze im się współpracowało.

Może mógłbyś spytać Sanguinatic w Lakeside, czy coś na ten temat słyszeli? Nie chcę się w to wtrącać... No dobrze, wtrącam się, ale podoba mi się tutaj, w tym tygodniu wysprzątano jeden z domów i udostępniono go dla nowych mieszkańców, a ja mogłam sobie wybrać mieszkanie. W przyszłym tygodniu się przeprowadzam. Dziwnie jest wybierać meble należące do ludzi zabitych przez Starszych, ale z drugiej strony ludzie cały czas kupują meble i sprzęt z wyprze-

daży z majątków, a to chyba to samo – w końcu zginęli wszyscy mieszkańcy tego miasta i nie było to spowodowane starościami ani żadną epidemią. Próbuję więc traktować to jak jedną wielką wyprzedaż, ale mimo to ucieszyłam się, że zanim weszłam do domu, gruntownie go wysprzątaano.

Z reguły nie rozwodzę się nad tym, dlaczego nagle całe miasto opustoszało. Ale to trochę tak, jakby przyjaciel mówił ci, że jego rodzice się rozwodzą, a potem wszedłbyś do swojego domu i przytapał własnych rodziców w trakcie strasznej awantury. Powtarzasz sobie, że twojej rodziny to nie spotka, a potem widzisz, że to jednak jest możliwe, jeśli ludzie nie będą uważać na to, co mówią i robią.

Nie wiem, czy wysłę ten list, bo pewnie zacznieś się martwić i będziesz chciał, żebym wróciła do domu. Ale mnie jest tu dobrze. Naprawdę. I nie pisnęłabym nawet słówkiem, gdybym w tamtej chwili ich nie zobaczyła.

Napisałam ci mój nowy adres. Gdy dostaniesz ten list, ja pewnie będę już po przeprowadzce, ale w Bennett nie ma jeszcze zbyt wielu mieszkańców, więc w pensjonacie z pewnością przechowają dla mnie korespondencję.

À propos mieszkańców – naszym nowym szeryfem jest Wilk. Nazywa się Virgil Wilcza Straż i sprawia wrażenie „tak niebezpiecznego, że nie potrzebuje broni”. Tak właściwie to nie jest żadne wrażenie, bo on rzeczywiście jej nie potrzebuje. Wystarczy, że odstani zęby i warknie – i już wszyscy grzecznie przestrzegają prawa. Mówi do mnie Bar-

bara Ellen. Tak samo jak Tolya. Nie wiem dlaczego. Wszyscy inni nazywają mnie Barb.

A skoro mowa o niebezpiecznych istotach, ktoś z Panterzej Straży zajął mały domek pod miastem. Mieszka z nim jakiś młody mężczyzna, człowiek. Widziałam, jak przechadzają się wokół placu, ale na razie nie utrzymują z nikim kontaktu. Powiedziano nam, żeby dać im czas i przestrzeń – nie nachodzić ich z ciastem i nie witać na siłę jako nowych sąsiadów. Nie żeby któśkolwiek z nas gotował albo piekł, bo w pensjonacie i w hotelu wyżywienie jest za darmo, a jeśli chcesz ugotować coś dla siebie, musisz sam zapłacić za składniki. Po co więc się wysilać i robić sobie kanapkę, skoro możesz dostać pełnowartościowy i zrównoważony posiłek, który ktoś dla ciebie przygotowuje?

Muszę już kończyć. Moc uścisków dla mamy i taty. I dla ciebie też.

Barb

Do: Simon Wilcza Straż
i Vladimir Sanguinati,

PILNE

Jesse Walker jest niezadowolona i zagroziła, że przestanie pomagać w organizowaniu sklepów i mieszkań w Bennett. Chce wiedzieć, jakie mamy plany wobec miasta i innych miejsc wyczyszczonych z ludzi i przejętych przez Starszych. Czy chcemy odnowić w nich populację Intuitów i terra indigena? A może porzucimy część miast i pozwolimy, by niszczały? Czy

ludzie, którzy przyjechali do Bennett, zawitali tylko na jakiś czas, żeby pomóc, czy zostaną na stałe, staną się pełnoprawnymi mieszkańcami i będą mogli zająć się handlem, produkcją albo biznesem? Chce wiedzieć, czy Bennett ma być prawdziwym miastem czy tylko pewnym etapem pozbywania się ludzi.

Tak jak prosił Dziadek Erebus, Sanguinati już się tu urządzili. Przejęliśmy kontrolę nad dworcem kolejowym, pocztą, telegrafem, a ja zostałem oficjalnym przywódcą miasta. Przybyli do nas zmiennokształtni z wielu straż, którzy chcą pracować, jednak większość z nich ma małe doświadczenie w przebywaniu z ludźmi. A większość młodych Intuitów ma małe doświadczenie w przebywaniu z terra indigena. Ponieważ Starsi zawsze są w pobliżu, ludzie zawsze się boją.

Wydaje mi się, że Jesse Walker ma konkretny cel. Najpierw chodziło o zabezpieczenie Bennett, bo znajdowała się tam jedyna stacja kolejowa na przestrzeni wielu kilometrów i nie można było pozwolić, żeby wpadła ona w ręce ludzkich wrogów terra indigena. W tym celu ustaliłem podstawowe biznesy i branże, które będziemy musieli utrzymać. Jeśli jednak w mieście ma być więcej sklepów i zakładów wspierających pracowników dworca, musimy zawrzeć kompromis i pozwolić przyjechać do Bennett tym, którzy chcą się osiedlić w innym miejscu – zwłaszcza że niektórzy, jak na przykład Barbara Ellen Debany, mają umiejętności, które się nam przydadzą. Możemy zrobić z Bennett punkt wypadowy i wysyłać stąd grupy, których celem będzie odzyskanie kolejnych pustych miast. W tym celu musimy jednak wybrać właściwych ludzi. Mamy tu dużo młodych, którzy mogliby

zostać, jeśli tylko otrzymają okazję do nauczenia się jakiegoś zawodu. Teraz potrzebujemy dorosłych, nadających się do prowadzenia zakładów.

Czy Dziedziniec w Lakeside mógłby pełnić rolę filtra i przysłać nam odpowiednich chętnych? Załączam listę zawodów i branż, których potrzebujemy zdaniem Jesse Walkera – bo biura i zakłady już mamy. Nie musimy od razu zapelniać wszystkich wakatów, przecież nie na każde stanowisko znajdzie się od ręki odpowiedni kandydat, wydaje mi się jednak, że musimy odpowiednio się wysilić, jeśli chcemy stworzyć tu mieszaną społeczność, taką samą, jaką zamieszkuje Lakeside.

Tolya

PS Barbara Ellen dobrze się sprawuje. Zachęciłem ją, żeby napisała do rodziny. Wrona, pracująca na poczcie, powiedziała mi, że Barbara wysłała list 26 lipca, może jednak nie pisać tak często, jak życzyłaby sobie tego jej rodzina, bo jest zajęta zawieraniem nowych znajomości i zajmowaniem się zwierzętami domowymi, które pozostały po ludziach. Ponieważ tak dużo zwierzątek – jak je nazywa – potrzebuje nowych domów, albo przynajmniej nowych opiekunów, zasugerowała, żeby każdy nowy mieszkaniec otrzymywał powitalny prezent – psa, kota albo ptaka. Próbuję odwieść ją od tego pomysłu i wytłumaczyć, że nowi terra indigena mogą pomyśleć, że te żywe podarki to po prostu kolacja.